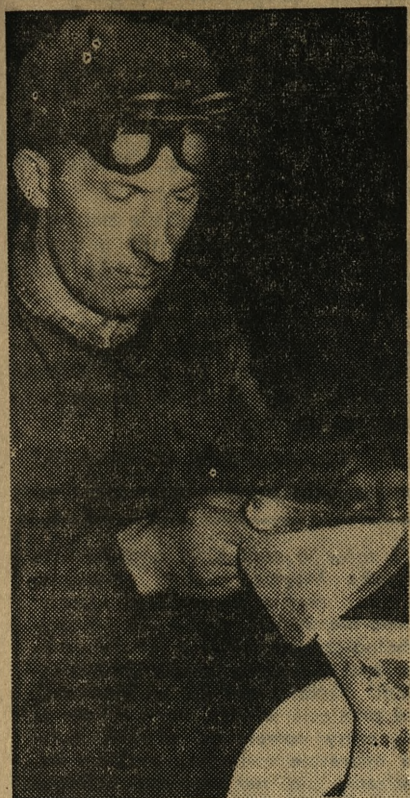




Fot. — K. Przychodzki

Zbiłut Sęk

NASZE ROZMOWY

Saga rodu pisana węglem

spowinować z ich rodziną nie brał nic za naukę. A jeszcze Kazik miał za „wypomóżkę” pięćdziesiąt groszy na dzień.

Wojna nie odmieniła losu, dziedzica zastąpił Niemiec. Przyszłość wreszcie dzień, kiedy nie było jednych ani drugich. Młody Wieruchowski, wtedy już kował całą gębą, poszedł do PGR-owskiej kuźni do Smaszewa. Tu się ożenił, tu przyszedł na świat Heniek a potem Danka i Wojtek. Młody zajął miejsce starego, teraz on był głową rodziny, o jej przyszłości decydował jego, Kazimierza fach, stateczne zajęcie wiejskiego kowala.

To pierwsza część życiorysu Wieruchowskiego. Drugą zaczęła mu pisać kopalnia.

— Do Adamowa przyszedłem jakieś cztery lata temu, kiedy zaczął się tutaj ruch wokół węgla. Wiosną 1960 roku rozpocząłem w warsztacie mechanicznym. Co to zresztą był za warsztat...

Rozejrzałem się mimowolnie po ogromnej nowoczesnej hali, wypełnionej zgłębieniem pracy, bo tu właśnie toczyliśmy rozmowę.

— Było nas wszystkich siedemnaście, dzisiaj jak pan widzi pracuje tu prawie dwustu... Jako kowal znałem się na różnej robocie, co mi się bardzo przydało w kopalni. Brakowało speców, więc trzeba było brać się do wszystkiego, nawet spawać samemu pod okiem dyplomowanego spawacza. Kopalnia wymagała jednak pełnych kwalifikacji, zdobyłem więc najpierw papier z czaładnika, potem spawacza i poszedłem na kurs mistrzowski.

— Wtedy byłem już brygadystą. Nasze warsztaty miały moc roboty, najpierw z naprawą spychaczy, które przygotowywały teren pod budowę kopalni, potem pomagaliśmy elektrykom i budowlanym, przygotowując im potrzebne urządzenia, konstrukcje, to znów zaczęły się naprawy wchodzących kolejno do wkopu koparek i taśmociągów. Ludzi nadal było za mało, choć wszyscy uczyli się na potęgę w nowym zawodzie. Toteż pracowaliśmy po 12—16 godzin, a czasem i przez trzy zmiany bez przerwy.

— Pamiętam, jak raz po kilku-dniowej ulewie, w kopie zalała woda. Pompy nie mogły jej poradzić, zapychały się błotem. Pracowaliśmy wtedy dwadzieścia cztery godziny, przez całą noc po pas w wodzie. Dopiero jak przyszedł dyrektor Frost — wygonił nas do domu.

Dom. Dla Wieruchowskiego i kolegów z grupy awaryjnej ma on specjalne znaczenie. Bywa przecież tak, że jeszcze dzisiaj większą część doby przebywają poza rodziną. Awarii nigdy nie brak przy budowie kopalni, a gdy nawet koparki normalnie pracują, pompy nie ustają i nie rwie się taśmociąg, to wypadnie jakiś „awaryjny” termin pilnej roboty. Kopalnia przecież już ostatni, szósty rok w budowie, właśnie na Barburkę ma ruszyć wraz z Elektrownią Adamów, więc pilnych prac nigdy nie brak. Toteż awaryjna „spec-grupa” często zostaje na drugiej zmianie. Dlatego Wieruchowski tak sobie ceni własny dom.

Jak jest u siebie to i żonie pomoże i zamki wszystkie działają i córka ma swój nowoczesny regał, o którym mówi, że na ich osiedlu górniczym „nikt takiego nie ma”. Wieruchowski ceni sobie dom chyba i dlatego, że odczuł wyraźnie zmianę, gdy przed czterema laty przeniósł się ze Smaszewa do trzy-pokojowego mieszkania, które dała mu kopalnia.

Co on dał kopalni? Ręce i serce. Całym sercem jest w tej robocie; nie bez powodu wziął go do grupy awaryjnej, potrzebującej ludzi oddanych, ofiarnych z otwartą głową. Wieruchowski jest też aktywistą partii, przewodniczącym Oddziałowej Rady Robotniczej, odznaczony Odznaką Przewodnika Pracy, Aktywisty BHP...

Właściwie, to już koniec życiorysu Wieruchowskiego. Sagę rodu Wieruchowskich pisze dalej sam węgiel. Osiemnastoletni Heniek robi właśnie maturę w leszczyńskim liceum pedagogicznym. Węgiel, który ojcu dał zarobek i wzbogacił jego fach, synowi umożliwił naukę, rozbudził aspiracje artystyczne. Heniek chce zostać aktorem teatralnym, a ma ku temu powód, bo jest członkiem wyróżnionego zespołu artystycznego. Szesnastoletnia Danka nie myślała o kopalni, póki w wakacje nie zaczęła pracować w kopalnianym biurze. Teraz myśli tylko o tym, jaki by też wybrać górniczy fach po maturze. Nie widzi nic nadzwyczajnego w tym, że chce iść na Akademię Górniczo-Hutniczą. Najwcześniej zdecydował się najmłodszy Wojtek. Uczy się w szkole zawodowej. Za dwa lata pójdzie za ojcem, do kopalni na ślusarza. To będzie już drugie pokolenie górnicze Wieruchowskich.

Czy Wojtek zostanie tylko ślusarzem? Za kilkanaście lat odpowiedź napisze węgiel. Chyba jednak Wojtek też pójdzie wyżej. Turkowska brunatna niecka potrzebować będzie coraz więcej ludzi, znających jej wszystkie tajemnice i wymogi. A nie sposób wątpić, że Adamów, Władysławów i inne odkrywkę górniczą naszego zagłębia, które tak decydująco wpłynęły na losy Wieruchowskich, nie będą oddziaływać również i później.

OGŁADY
OLEMIK
POSTULATY
tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 162 22. XI. 1964 Rok IV

Maciej Olszewski

MLF=WSN

Jak wiadomo język angielski (a raczej amerykański...), jest panującym w NATO. Ponadto przy tworzeniu oficjalnych nazw wielu instytucji Paktu Północnoatlantyckiego, stosuje się z premedytacją zasadę możliwie najtrojskliwszego kamuflowania ich istoty. Gdybyśmy więc chcieli ograniczyć się wyłącznie do filologicznego społszczenia nieszczenie mocnego ostatnio na Zachodzie oficjalnego terminu angielskiego „Multilateral Force” (pochodny skrót „MLF”) — wypadałoby pisać: „Siły Wielostronne” (i używać skrótu „SW”). Że jednak nie zależy nam na kamuflowaniu czegokolwiek, zaś budzący tyle kontrowersji, zastrzeżeń, konfliktów i protestów projekt „MLF” przewiduje utworzenie instytucji nie jakichkolwiek sił wielostronne zarządzanych w ramach NATO, lecz wyłącznie nuklearnych — przyjeżdżamy w naszym języku politycznym termin uwzględniający również istotę projektowanego twor. Dlatego używamy nazwy „Wielostronne Siły Nuklearne” (WSN).

Formalnie rzecz biorąc — o ile doczekałyby się realizacji propozycji wysuwane oficjalnie przez kierownictwo USA i popierane gorąco przez NRF — WSN powinny by się składać z floty 25 okrętów nawodnych, na których zainstalowano by po 8 wyrzutni rakiet Polaris A-3 o maksymalnym zasięgu 4750 km. Celem tych rakiet, wyposażonych w głowice termojądrowe dużej mocy, miałyby być: w przypadku odpalenia ich z jednostek pływających stale na Atlantyku (gdzieś pomiędzy

Świat i my

Grenlandia a Dakarem) terytoria NRD, Polski, Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii, Rumunii; w przypadku jeśli wystrzelono by je podczas rejsu okrętów po wschodnich akwenach Morza Śródziemnego lub po Morzu Północnym wzdłuż wybrzeży Norwegii — także znaczne obszary Związku Radzieckiego, mniej więcej po Nowosybirsk włącznie.

Zalogi jednostek WSN składałyby się z ochotników, przy czym na każdym z okrętów powinni pełnić służbę przedstawiciele co najmniej trzech państw i ani jedna z grup narodowościowych nie mogłaby stanowić więcej niż 40 procent ogółu załogi.

Flota jako całość miałaby zaś stanowić wspólną własność udziałowców WSN, podporządkowaną wspólnej administracji i wspólnemu dowództwu operacyjnemu. Według dotychczasowych zapewnień, bojowe użycie niszczycielskiego potencjału floty WSN (i niejako automatycznie spowodowanie również niszczycielskiego odwetu odpowiednich sił Układu Warszawskiego), powinno za leżeć od zgody większości partnerów, którzy musieliby zarazem posiadać łącznie co najmniej 76 procent udziałów.

Tak więc nie mogłoby (ponoć!) nastąpić to wbrew woli Stanów Zjednoczonych (które w razie przystąpienia większej liczby państw do układu WSN miałyby posiadać 35 procent udziałów). Z drugiej strony zaś nie wystarczyłaby (także ponoć) zgodna decyzja Stanów Zjednoczonych oraz NRF (której udziały, w przypadku przystąpienia i innych państw do układu o WSN, określone byłyby na 32 procent).

Jak jednak wyglądałby podział kompetencji podejmowania decyzji odpalenia owych „Polarisów”, w przypadku, gdyby w miejsce WSN miały powstać jedynie Dwustronne (amerykańsko - zachodnoniemieckie) Siły Nuklearne?

O tym milczy się w Bonn, choć już wczesną jesienią wyprawiano się tam — w formie pokrywającej szantaż wobec innych państw NATO przechwałki — iż nawet w razie braku innych kandydatów na udziałowców WSN, Stany Zjednoczone gotowe są zrealizować projekt stwo-

Dokończenie na str. 2

Dokończenie na str. 2

Franciszek Sławiński

Zwyczajność nauczyciela

Pracuję już pełne sześć tygodni. Zawód nauczyciela przynosi mi wiele radości. Wszystkie piętujące się, na głuchej wsi, trudności dydaktyczne, pedagogiczne a nawet osobiste (sam gotuję obiady) rozwiązuję z poczuciem młodzieńczej siły i pewnością siebie.

Zdobywam dzieci, które za okazane im serce i troskliwość wyraźnie darzą mnie sympatią i przywiązaniem. Szukam ścisłego kontaktu z całą wsią. Chcę wpleść pracę szkoły w codzienne życie gromady. Snuję plany harmonijnej działalności szkoły ze środowiskiem. Piękne moje zamierzenia zostają obalone jednym celnym i najmniej spodziewanym uderzeniem.

Oto wczoraj wieczorem siedzę sobie w mieszkaniu i jak co dzień poprawiam zeszyty. Na stole błyszczą światło naftowej lampy przysyoniętej papierowym kloszem. W pewnej chwili słyszę w sieni głośnie szuranie butami, chrząknięcie i lekkie pukanie do drzwi. Nie zdziwiłem się, gdyż prawie każdego wieczora ktoś z mieszkańców wsi przychodził do mnie z różnymi sprawami.

— Proszę. — Na progu stanął członek Opieki Szkolnej — Stanisław Słubik. — Niech pan siada, cieszę się, że pan przyszedł, proszę. Sądząc, że ma do mnie specjalny interes — mówię: — Chwileczkę panie Opiekunie, zbiorę tylko zeszyty ze stołu, to porozmawiamy.

— Nie, nie, niech pan sobie nie przeszkadza. Niech pan profesor przegląda te zeszyty, ja tak tylko przyszedłem trochę posiedzieć, bo w chałupie nie mam co robić.

Poprawiam więc dalej i gawędzi- my to o tym to owym.

— Wasz chłopak — panie Słubik — znacznie się poprawił, coraz lepiej pisze, a w ogóle jest bardzo zdolny i z powodzeniem przejdzie do czwartego oddziału, powiedziałem natknawszy się na zeszyt jego syna.

Chłop pochylił się nad zeszytem, popatrzył, siurknął nosem i powiedział: — a wie pan, że mój chłopaczek nabrał chęci do nauki. W domu też chętnie czyta i pisze. Dawniej nie można go było do książki napędzić, a teraz to nawet za krokami z książką chodzi. Niech go

tam pan postrasza i kija nie żałuje, przekropi czasem, bo chciałbym, żeby trochę się przeuczył.

— Za co go bić, przecież to dobry chłopiec — odrzekłem.

— A, proszę pana, bez bicia się nie nauczy.

I ni z tego ni z owego dodaje: — A jak pan chciałby, na ten przykład, furmanki do miasta, to proszę przez syna dać znać — to się pojedzie.

— Dziękuję bardzo, powiedziałem, ale do miasta na razie nie wybieram się, bo i nawet nie mam po co jechać.

Mój rozmówca uśmiechnął się dziwnie i rzekł z przekonaniem: —

Drukowane tutaj fragmenty pamiętnika są częścią większej całości, którą autor — mgr Franciszek Sławiński z Poznania — zgłosił na konkurs Polskiej Akademii Nauk na pamiętniki z dziejów szkolnictwa i oświaty. Praca ta zdobyła III nagrodę. Autor opisuje wydarzenia sprzed 40 laty, gdy rozpoczynał pracę nauczycielską na wsi łowickiej. Jakże inne to były czasy! Mgr Sławiński do dziś jest w Poznaniu czynnym nauczycielem, choć już nie w pełnym wymiarze godzin.

Czasem człowiek się nie wybiera, a musi jechać, więc niech pan pamięta, zawsze chętnie pojedę.

Ze zdziwieniem spojrzałem chłopu w oczy. Coś mój pan Opiekun tak zagadkowo jakoś mówi. — Co pan — panie Słubik — chce przez to powiedzieć.

— Jak tu panu rzec — kręci się, widzę, więc zachęcam — proszę niech pan Opiekun mówi śmiało, co się za tym kryje.

— Przyszedłem powiedzieć, że na pana... skargę będą pisać do Inspektora Szkolnego.

Skamieniałem — ręce mi opadły.

— Skargę na mnie będą pisać? — pytam niespokojnie. — Kto i dlaczego? Co się stało?

— Powiem panu wszystko dokumentnie, bo i mnie się to nie widzi dobrze. Już dawno we wsi pogadują, ale wczoraj na gromadzie podatkowej (zebranie wiejskie) chłopci mówili, że ten nowy nauczyciel — to nic ino z małymi dziećmi po łakach goni, w piłkę się bawi, bajki opowiada a dzieci wcale nie uczy. W starszych oddziałach niby uczy — to znowu nie bije. Tak mówili — panie, Bogiem a prawdą, to jest w tym trochę racji, bo i mój chłopak

powiedział, że jeszcze nikt w całym oddziale nie dostał. Dawniej to dzieciaki bały się nauczyciela jak ognia, do szkoły trudno było ich wygnać, a teraz chętnie idą i nauczyciela się nie boją — to i nauka musi być gorsza. Tak po moim głupim rozumie wychodzi — zakończył.

Słuchałem i coś mnie ścisnęło za gardło.

— Panie Słubik, dobrze się stało, że pan do mnie przyszedł i za to panu bardzo dziękuję. Niech mi pan dokładnie powie — jakie zarzuty stawiali panu moim adresem.

— Ano mówili, że pan z dziećmi gimnastyki robi, a to nożyczki każe do szkoły przynosić, uszy ogląda, guziki każe przyszywać, buty czyścić i paznokcie obcinać, a to znowu, że tabliczki z rysikami pokasował i zeszyty każe kupować.

Postanowiłem w najbliższą niedzielę zwołać zebranie rodziców wszystkich dzieci chodzących do szkoły.

W ciągu trzech kolejnych dni przypomniałem dzieciom, że w najbliższą niedzielę o godzinie 16 odbędzie się w szkole zebranie rodziców. Każde dziecko miało obowią-

zek dopilnować, by ktoś z domowników przyszedł do szkoły. Postronnie dowiedziałem się, że zamierzonej na mnie skargi jeszcze nie napisali, ale już była wyznaczona delegacja, która miała z tym pismem do Inspektoratu Szkolnego pojechać.

Osobiście bałem się tego zebrania, gdyż miało to być pierwsze moje oficjalne spotkanie z rodzicami. Nie byłem pewny jak ono wypadnie przy takim nieprzychylnym, bądź co bądź, stosunku do mojej osoby i do pracy w szkole.

Przygotowywałem się więc bardzo starannie. Przestudiowałem przepisy szkolne ze zbioru Juszcakowskiego i przypomniałem sobie wszystkie zasady pedagogiczne jakich uczone nas w Seminarium. Uzbroidłem się rzetelnie i muszę powiedzieć, że poczułem się znacznie mocniej i pewniej na swej pozycji.

Nadeszła oczekiwana niedziela.

Zebranie rozpoczęło się z niewielkim opóźnieniem, sala była nabitą po brzegi. Dla podkreślenia znaczenia Opieki Szkolnej i powagi zebrania, Opiekunów prosiłem, by zajęli

Dokończenie ze str. 1

zenia floty nawodnych nosicieli „Polarisów” wespół z samą tylko N.R.F. Milczy się też na ten temat w Waszyngtonie, podobnie jak nie zdradza się tam oficjalnie faktu, że już 12 lipca br. (podczas wizyty kanclerza N.R.F. w USA) Erhard i Johnson podpisali umowę, na mocy której układ o WSN powinien zostać podpisany do 15 stycznia 1965 r. i to — o ile nie da się inaczej — choćby tylko jako dwustronny.

Jak będzie wówczas wyglądał procentowy „udział” N.R.F.? Oto jest pytanie, zmuszające do daleko posuniętego sceptycyzmu wobec wszystkich rzekomych „gwarancji”, mających na celu stworzenie zastony dymnej wobec niewątpliwego faktu: N.R.F. ma stać się atomowym partnerem USA. Ma stać się współdysonentem rakiet z głowicami termojądrowymi. Rakiet wymierzonych co najmniej w Berlin, Warszawę, Pragę, Budapeszt, Bukareszt i Sofię...

Sceptycyzm ów potęgują zresztą najświeższe doświadczenia historyczne. Przecież zaledwie 10 lat temu awansowano N.R.F. — oficjalną spadkobierczynię i sukcesorkę Trzeciej Rzeszy — do rangi niezastąpionego partnera konwencjonalnego NATO. Wówczas także próbowano różnego typu „gwarancjami ograniczeń”, lub „dobrowolnych wyrzeczeń” rządu N.R.F. maskować start maszyny militarnej imperializmu niemieckiego, ku zajęciu już wkrótce pierwszemu miejscu wśród sił zbrojnych europejskich partnerów NATO. Ież z ówczesnych „gwarancji” odważyłby się przypomnieć jeszcze w dziesięciolecie ich proklamowania kanclerz boński lub prezydent waszyngtoński?

Powróćmy jednak do referowania istotnych szczegółów nie zmodyfikowanego jeszcze oficjalnie, amerykańskiego projektu o stworzeniu floty WSN. Pierwotny preliminarz opracowany przez Amerykanów przewidywał, że związane z tym wydatki (rozłożone na okres ośmiu lat) wyniosą do 3,5 miliarda dolarów. Nowszy, ponoć oszczędnościowy preliminarz, zakłada wydatkowania w ciągu pierwszych pięciu lat „zaledwie” 2,3 miliarda dolarów na samo wystawienie floty, ponadto zaś na jej utrzymanie dodatkowo 160 milionów dolarów rocznie.

Nasuwać się kolejne pytania: po co to wszystko? komu to potrzebne? Odpowiedź projektantów i zwolenników WSN brzmi: WSN są niezbędne potrzebne NATO zarówno ze względów militarnych jak politycznych.

Militarnie — sugeruje się — są niezbędne, gdyż w ten właśnie sposób będzie można choćby częściowo zmienić układ sił w Europie, przez który przebiega obfitująca w konflikty rejonowa linia styku Zachodu ze Wschodem. W konsekwencji stworzyć przesłanki aktywizacji antykomunistycznej polityki z „pozycji siły” wobec Wschodu.

Politycznie WSN powinny — w myśl życzeń amerykańskich wnioskodawców — przyczynić się do ponownego skłajstrowania jeszcze jednym partnerstwem, coraz bardziej rozpadał się Paktu Północnoatlantyckiego. Zapobiec antyamerykańskiemu kryzysowi w NATO, która przecież powstawała z inicjatywą Stanów Zjednoczonych nie tylko jako instrument krucjaty antykomunistycznej, ale także dla zapewnienia USA trwałej hegemonii nad Europą.

Wszystko jednak wskazuje na to, iż projekt ten — jeśli chodzi o nadzieje amerykańskich projektodawców — jest chybiony militarnie i politycznie. Nawet bowiem pełna jego realizacja nie zmieni na tyle układu sił pomiędzy Wschodem a Zachodem, by w Pentagonie można było ponownie liczyć na opłacalność rozpętania atomowej krucjaty antykomunistycznej. Ani też (można to stwierdzić już niemal jako pewnik) nie ma najmniejszych szans, by projekt WSN stał się proamerykańskim kłajstrem, skutecznym wobec głównego adresata politycznych aspektów tego przedsięwzięcia: Francji.

Tyle tylko, że stworzenie projektowanej floty WSN zmieniłoby układ sił wewnątrz samej NATO. Uczyniłoby N.R.F. współdysonentem części amerykańskiego potencjału rakietowo-termojądrowego. Pozwoliłoby N.R.F. wejść do klubu mocarstw atomowych przez luk projektowanych transporterów wyrzutni „Polarisów”. W konsekwencji — wzmocnić awanturnicze nastroje odwetowców. Spółgować groźne napięcie w Europie i na całym świecie.

MACIEJ OLSZEWSKI

Dokończenie ze str. 1

wę nauki oddziału III i IV, które do tej pory uczy się poza normalnym rozkładem zajęć, gdyż oddziały I i II mają 30 godzin nauki tygodniowo a więc pełny wymiar godzin i tylko z własnej woli poświęcać dwie godziny dziennie dla tych klas w oczekiwaniu na drugiego nauczyciela. Do tej pory nie ma ani izby, ani sprzętu, ani nauczyciela i o ile tak będzie dalej to zatrzymamy w szkole 60 dzieci z oddziału I i II, a 32 dzieci z oddziału III i IV przestanie uczęszczać do szkoły.

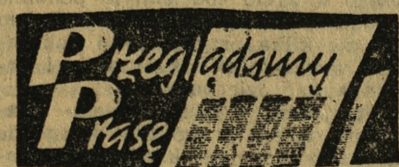
Dzieci w wieku szkolnym jest we wsi 126, a chodzi do szkoły w tej chwili 92. Czekamy na drugiego nauczyciela, aby wreszcie wszystkie dzieci mogły się uczyć. I tu trzeba, kochani rodzice, waszej pomocy.

Kazimierz Nowowiejski

G.B. Shaw w Operetce

Na temat musicalu „My Fair Lady” od kilku lat ciągle czyta się jakieś sensacyjne wieści, w prasie krajowej i zagranicznej. Sztuka F. Loewego ponoć zapełnia „po brzegi” widownie teatralne, zwłaszcza w Anglii i USA. Należąco film według „Lady”. Niektóre melodie zyskały sobie popularność i u nas (choćby poprzez koncerty radiowe). Właśnie Poznańska Operetka w tych dniach wystawiała z polską premierą Loewego. Libreto stanowi przełobne „Pygmalion” czyli słynnej komedii G. B. Shawa o ulicznej kwiaciarce Elizie Doolittle (z której w kilka miesięcy robi się uroczą, wytworną i mądrą lady, przyjmowaną w najbardziej ekskluzywnych towarzystwach). Genialny nauczyciel — Shaw (przecież jeden z filarów ongi postępowej angielskiej Fabian Society) sugeruje, że tylko środowisko i wychowanie czyni z nas to czym jesteśmy. Pokrzepiający i twórczy jest optymizm pisarza, walczącego przez całe życie o przebudowę społeczną.

Z pomysłów shawowskich libreciści amerykański (A. J. Lerner) wziął jedynie samą osnowę akcji, dodając masę własnych tekstów, dowcipów i piosenek — bez czego nie byłoby „musicalu” (odmiana operetki). Słowo recylowane odgrywa w „My Fair Lady” nieprzeciętnie ważną rolę i tutaj na śpiewakach ciąży duża odpowiedzialność, by zainteresować w dialogach (przydługawych jak na teatr muzyczny). Ceniony reżyser poznański H. Drygałski robił co mógł aby operetkowiczów przerobić na aktorów dramatycznych. Udało się to z różnym szczęściem. Zdaniem niżej podpisanego należałoby poskracać obszerne lekcje Elizy z Higginsem (osłabia tempo musicalu). Wslawki baletowe nic nie straciłyby na kondensacji. Stanowczo głosić za przerwą po pierwszej godzinie spektaklu. W dusznej, załoczonej salce naszej Operetki można zawiesić przysłowiową siekiere — taki upał.



„POLITYKA” PREZENTUJE WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE

„W prezentacji województwa dobiłoby do Poznania. Jest to dzielnica Polski mająca swoje stare ambicje, tradycje i kompleksy. Wbrew więc zwyczajowi naszych penetracji województw, tym razem niewiele znajdziemy w materiałach danych gospodarczo-statystycznych. Postanowiliśmy bowiem podjąć polemikę z uartymi stereotypami poznania” (...)

Tak zapowiada redakcja „Polityki” zamieszczone w bieżącym wydaniu materiały o województwie poznańskim (cykl „Polska siedemnaście”).

Prześledźmy je w dzisiejszym przeglądzie. Zachęcamy jednak naszych Czytelników do zapoznania się z nimi w oryginale.

NOWOCZESNOŚĆ W MYŚLENIU

Takim tytułem opatrzył J. Śmiejański rozmowę z I sekretarzem KW PZPR w Poznaniu — Janem Szydłakiem, który mówi o ważkich problemach naszego województwa. Oto niektóre z nich:

STYL PRACY: „W komitetach partyjnych sporo dziś ludzi z wykształceniem wyższym, wychowanków naszych uczelni. Są to w dużej mierze działacze ZWM, ZMP. Ich polityczna edukacja rozwijała się w ostatnim 10-leciu. Nie dziwnie, że w myśleniu przeważa konkrety, rzeczowość. (...) W codziennej pracy myślą głównie o zadaniach organizatorskich. Ludzie ci z uwagi na kwalifikacje i wy-

Zwycięstwo nauczyciela

Nieoczekiwanie dla mnie rodzice znów wyrazili gotowość, o ile będzie potrzeba, pokrycia kosztów wynajęcia izby i zakupu odpowiedniego umeblowania. Wysokość składki miała być ustalona na podstawie liczby morgów posiadanych przez każdego gospodarza, gdyż ten sposób opodatkowania uważano za najbardziej sprawiedliwy.

Opiekę Szkolną upoważniono do załatwienia tych spraw w ciągu dwóch tygodni... Jak widać — ze-

branie przeszło bardzo dobrze, wszyscy byli zadowoleni i wykazywali duże zainteresowanie szkołą.

Głosów krytyki, na co byłem przygotowany, nie było. Na zakończenie gorąco podziękowałem rodzicom za przybycie i duże zainteresowanie się szkołą. Przypomniałem powzięte zobowiązania, które muszą być naprawdę wykonane dla dobra dziecka i szkoły.

Oświadczyłem przy tym, że wszystkim to razem wzięte nie przeszkadza

Eugeniusz Paukšta

PIW-owskie nowości

Dzisiaj z książek PIW-owskich zainteresują nas przekłady z obcych literatur.

Z kręgu literatury niemieckiej niewątpliwym wydarzeniem sta się ukazanie „Esejów” Tomasza Manna, w wyborze Pawła Herza z postawieniem Wilfolda Wirpszy. W przekładach różnych tłumaczy otrzymujemy bogaty, choć niepełny wybór esejów Mannowskich, traktowanych w sposób specyficzny dla całej jego twórczości, to znaczy nie czystych w swej formie, ale zmieszanych z elementarnymi, jak słusznie wskazuje na fakt ten Wirpsza, epickimi.

W serii KIKu otrzymaliśmy „Spadkobierców ognia” Herberta Zanda, pisarza austriackiego. Jest to książka o dużym ładunku napięcia, przez wizerunek życia wiedeńskiego ukazująca wewnętrzne powikłania poszczególnych środowisk i pokoleń. Wnioski, jakie autor wyciąga z odmalowanego wizerunku wiedeńskiej metropolii, nie dają się chyba zaliczyć do zbyt optymistycznych: metropolia, jej ludzie, zżerani są przez wewnętrzne starcia i namiętności, zewnętrzne pozory maskują częstokroć kryjąca się pod nimi pustka.

A o kolejne piąte już wydanie „Goya” Liona Feuchtwangera, jednej z najciekawszych opowieści tego autora. Inna sprawa, że sam portret Goya’i malowniczością i bohaterką i epoki dostarcza aż nadto pełnego dramatu i napięcia tworzywa.

Z kręgu anglosaskiego wymienić trzeba na pierwszym miejscu „Sprawę Howarda” Charlesa Percy Snow’a, dalszy, samodzielny zresztą człon świetnego cyklu „Obcy i bracia”, którego akcja dzieje się na ile słonek w jednym z kolekcji Cambridge. Tym razem płaszczyzną rozważań autora są problemy sprawiedliwości, dociekanie samej względności tego pojęcia.

RODZINA POZNAŃSKA

W świadomości przeciętnego Polaka utrwalił się na ten temat pewien schemat pojęciowy. Według tego schematu — rodzina to jest diamentalnie różna od rodziny zamieszkujących inne miasta. Ma dużo zalet ale nie stawia się jej za wzór. Helena Niezabitowska postanowiła rozbić młotem o tradycyjnej rodzinie poznańskiej. Jej zdaniem (opiera się na badaniach socjologicznych) obiegowy schemat o rodzinie poznańskiej stał się już anachronizmem. Rewolucja społeczna i gospodarcza wpłynęła zasadniczo na zmianę struktury mieszkaniowej miasta. Poznań stał się wielkim ośrodkiem przemysłowym z przewagą ludności robotniczej, która nadała miastu charakter. Autorka dochodzi do wniosku, że:

„Rodzina poznańska roku 1964, to po prostu typowa miejska rodzina polska.”

O ZAPIECKU NIE MOŻE BYĆ MOWY

...to tytuł i generalna teza artykułu Krzysztofa Wolickiego o środowisku artystycznym w Poznaniu. Autor zauważa procesy, które — jego zdaniem — powinny znacznie zwiększyć kulturalną prężność Poznania. Jeśli można mówić o poznańskiej biedzie w tej dziedzinie, to odnosi się to przede wszystkim do zalepsza inwestycyjnego miasta. Oprócz problemów środowiska muzycznego, teatralnego i plastycznego autor zajmuje się sprawą poznańskiej tradycji kulturalnego społecznikstwa:

„W szczególności jednak chciałbym podnieść tu rolę bardzo specyficzną poznańskiego Wielkopolskiego Towarzystwa

zupełnie zamiarowi napisania na mnie skargi do Inspektora Szkolnego.

Wyjaśniłem, że rodzice mają do tego prawo i wcale nie będę się na nikogo o to gniewał. Aby nie krępować zebranych swoją obecnością ukloniłem się pięknie i wyszedłem z zebrania.

W rezultacie skargi nie napisali i nigdy do tego tematu nie powracaliśmy. Delegacja wprawdzie pojechała do Inspektoratu Szkolnego, ale z petycją o mianowanie drugiego nauczyciela. Tradycja szkolki parafialnej była raz na zawsze zlikwidowana. I to było moje drugie zwycięstwo na wsi.

FRANCISZEK SŁAWIŃSKI

I znów w serii KIKu powieść Fredericka Mayera, pisarza amerykańskiego niemieckiego pochodzenia, „Sieć nienawiści”, próba studium psychologicznego Niemca wychowanego pod wpływem ideologii hitlerowskiej. Akcja dzieje się w Niemczech od przejęcia władzy przez Hitlera aż po czasy powojenne, w N.R.F. Autorka interesuje zwłaszcza problem odradzania się nacjonalizmu hitlerowskiego w dzisiejszych Niemczech.

W serii „Z jednorożcem” otrzymaliśmy pierwszy przełożony u nas utwór Henry Millera. „Uśmiech u stóp drabiny”. Szczególny to utwór w dorobku pisarza, w kolejnych swych utworach piszącego jakby ciągle własną autobiografię. Bo tu oto postać fikcyjną, kłowna August staje się nowym jakby wcieleniem autora. Utwór to bardzo liryczny, zlekka nawel sentymentalny, a napisany został dla Fernanda Légera jako tekst dla serii rysunków związanych z cyrkami. Pasjonująca lektura.

Nie był dotychczas znany czytelnikowi polskiemu także i Philip Roth, jedna z największych nadziei młodej prozy amerykańskiej. Powieść „Goodbye, Columbus” podejmuje odwieczny temat miłości dwojga ludzi, których dzieli kondycja społeczna. To współczesny Ameryki, bardzo czysto, żarliwie oddana miłość dwojga młodych i wiszczą nad nimi zmora konieczność zerwania z uwarunkowaniami społecznego bytu, stwarzająca bardzo swoisty, własny klimat niewielkiej tej książki, stają się też ciekawym studium współczesnej młodzieży.

Na zakończenie pragnę zaanonsować, iż ukazał się ostatni tom z serii „Pism” Fiodora Dostojewskiego. W tomie tym otrzymujemy powieść „Grzech” oraz „Opowiadania z lat 1862—1869”. Wzniesione też zostało w serii „Powieści XX wieku” wielkie dzieło Aleksandra Tołstoj „Piotr Pierwszy”.

Z książką na ty

Kulturalnego, organizacji — w przeciwnieństwie na ogół do innych analogicznych — żywej i co więcej, podejmującej ostatnio pionierskie inicjatywy”.

LOJALIŚCI NIEPOGODZENI

To ciekawy reportaż Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego o „Cegielskim”, który — zdaniem autora — jest kombinatem ludzi, stale jeszcze niezadowolonych z dotychczasowych osiągnięć, stale szukających nowych rozwiązań i z powodzeniem wcielających w życie nowe pomysły.

„Próbujemy — kończy autor swój reportaż — dokopać się kamienia filozoficznego mądrości: dlaczego w ich zakładzie właśnie urodziło się tyle jaskółek, śmiałych myśli, prób i inicjatyw. Mają przecież niemniej codziennych dokuczliwych trudności niż inni. Są nie mniej niż inni wyczerpani tą ciągłą walką z wiatrakami, bo nie wiadomo już z kim, tym mowieniem się z rzeczami najprostszymi. Niejednemu wystarczy, żeby przestał myśleć. A oni potrafili wymyślić jeszcze tyle rzeczy. — No i co takiego wymyślili? — broni się przewodniczący Rady Robotniczej. Właściwie nie. Właściwie robiliśmy tylko to, co niosło ze sobą życie. Nic więcej.

Cała sztuka, żeby w porę — nie za późno — odgadnąć” — stwierdza autor.

POZNAŃSKI INSTYTUT ZACHODNI

przedstawia Barbara W. Olszewska w artykule „Documenta teutonica”. Odwołując się do politycznej roli Instytutu, wyraża jednocześnie ubolewanie, że zbyt mało prac publikowanych w Poznaniu trafia do zagranicznych odbiorców i bardzo skromne są zagraniczne kontakty pracowników Instytutu. Ale na to potrzeba więcej pieniędzy.

LEKTOR